

Dariusz Kulesza

Genologiczna historia literatury polskiej XX i XXI wieku

Czy postmodernizm się kończy? A może po prostu się zmienia? Czy ma to znaczenie dla historii literatury i genologii? Czy nowa sytuacja postmodernizmu stwarza szansę badaniom historycznoliterackim, prowadzonym ze względu na przeobrażenia rodzajów i gatunków literackich? Czy badania te można nazwać genologiczną historią literatury? Pytania dotyczące kontekstu (postmodernizm) i projektu (genologiczna historia literatury polskiej XX i XXI wieku), który warto byłoby zrealizować.

Koniec postmodernizmu?

Postmodernizm się kończy, albo przynajmniej w istotny sposób się zmienia. Diagnozę tę przywołuję nie ze względu na ponowoczesność, ale z powodu historii literatury i genologii. Zygmunt Ziątek w naszej książce sugeruje przeżycie się poststrukturalizmów, ale Slavoj Žižek wydaje się bardziej jednoznaczny, chociaż przedmiotem jego ustaleń jest nie tyle literaturoznawstwo, ile sam, przyjmijmy, postmodernizm.

*Kruchy absolut. Czyli dlaczego warto walczyć o chrześcijańskie dziedzictwo*¹. Ta książka nie jest świadectwem konwersji słoweńskiego filozofa. To tekst o ślepej uliczce, w którą zabrnął postmodernizm, albo o pułapce, którą postanowił opuścić. Postmoderniści (nawet jeśli Žižek za postmodernistę się nie uważa) wcześniej czy później musieli uświadomić sobie, że ich projekt emancypacyjny – którego początkiem był feminizm, a ewolucyjnym, granicznym (?) doświadczeniem, zapisana w literaturze polskiej przez Olę Tokarczuk², pod postacią emancypacji zwierząt, emancypacja wszystkich istot – nie jest dekonstrukcją chrześcijańskiego, patriarchalnego, heteroseksualnego świata, ale programem o charakterze pozytywnym, kwestionującym i burzącym znaną nam rzeczywistość tylko o tyle, o ile jest to związane z budowaniem rzeczywistości nowej, alternatywnej, ponowoczesnej, wyemancypowanej. W czym zatem problem?

Postmodernizm, przynajmniej w jego wersji europejskiej – innej niż wersja amerykańska, wynikająca z naturalnej potrzeby współistnienia niesprowadzalnych (?) do wspólnego mianownika kultur i w tym znaczeniu genetycznie wielokulturowa – rozpoznaję przede wszystkim jako stan nie tylko wyczerpania³, ale wręcz bezradności. Uzasadnionej. I rezygnacji. Ratunkowej.

¹ Zob. S. Žižek, *Kruchy absolut. Czyli dlaczego warto walczyć o chrześcijańskie dziedzictwo*, przeł. M. Kropiwnicki, wstęp J. Kutyla, posł. A. Ostolski, Warszawa 2009. Pierwodruk oryginału: 2000.

² Zob. O. Tokarczuk, *Przeważ swój pług przez kości umarłych*, Kraków 2009. Ta książka wydaje się szczególnie ważna i wyjątkowo symptomatyczna. Jej znaczenie rośnie, jeśli weźmie się pod uwagę coraz większe polityczne zaangażowanie O. Tokarczuk, którego zewnętrznym znakiem jest jej współpraca z „Kulturą Polityczną”. Jeszcze coś. Magazyn „Książki” z grudnia 2012 r., dodatek „Gazety Wyborczej”, opublikował fragment najnowszej powieści Tokarczuk, zatytułowanej *Xięgi Jakubowe*. Za wcześniej na wiążące wnioski, ale ciekawie zapowiada się konfrontacja tej prozy z okołochrześcijańskimi tezami *Kruchego absolutu* Žižka.

³ Jeśli w związku z postmodernizmem pojawia się jakakolwiek forma przymiotnika „wyczerpany”, skazana jest na skojarzenie z esejem J. Bartha. I w tym

Niestosowne, a przede wszystkim bardzo ryzykowne (redukujące, a nawet fałszujące) są zbyt wielkie skróty, zwłaszcza w zasadniczych sprawach, ale nie piszę o postmodernizmie, tylko o historii literatury i genologii, o kontekście, jaki postmodernizm stwarzał i stwarza literaturze oraz literaturoznawstwu. Ponadto skrót, który proponuję, odwołuje się lub po prostu wykorzystuje dwa powszechnie znane teksty. Pierwszym z nich jest przetłumaczona przez Franciszka Jaszuńskiego, od dawna znana książka Zygmunta Baumana *Nowoczesność i Zagłada*⁴, a drugim szkic Przemysława Czaplińskiego *Zagłada jako wyzwanie dla refleksji o literaturze*⁵.

Najpierw uzasadniona bezradność. Wielka Rewolucja Francuska to początek historii, w której nasz gatunek, homo sapiens, postanowił przejąć odpowiedzialność za swoje losy, rezygnując z transcendentnych sankcji, czyli Boga i Jego pomazańca: króla. Od tej pory to my sami, formalnie poprzez swoich wybieralnych przedstawicieli, decydowaliśmy o tym, jak powinien być urządzony nasz świat. Problem w tym, że im doskonalsza miała być powoływana przez nas do istnienia rzeczywistość, tym więcej wymagała tak zwanego ładu i porządku, przybierających z czasem postać regulującej ustrój społeczny przemocy. Zawsze byliśmy świetni w „nadzorowaniu i karaniu”. I tylko nie wiadomo, co gorsze: transcendentna sankcja uzasadniająca, na przykład, epokę „podboju, rzezi i grabieży”⁶, nazywaną z europejskiego punktu widzenia epoką wielkich odkryć czy wypracowane przez nas samych i na naszą odpowiedzialność sank-

wypadku nie jest to bezpodstawne, chociaż Barth jest Amerykaninem, a w zapomnianym tekście pisał głównie o „wyczerpaniu” prozy J. L. Borgesa. Zob. J. Barth, *Literatura wyczerpania*, przeł. J. Wiśniewski, w: *Nowa proza amerykańska. Szkice krytyczne*, wybór, oprac. i wstęp Z. Lewicki, Warszawa 1983. Pierwodruk oryginału: 1967.

⁴ Zob. Z. Bauman, *Nowoczesność i Zagłada*, przeł. F. Jaszuński, Warszawa 1991.

⁵ Zob. P. Czapliński, *Zagłada jako wyzwanie dla refleksji o literaturze*, „Teksty Drugie” 2004, nr 5.

⁶ R. Kapuściński, *Ten Inny*, Kraków 2006, s. 21.

cje czarnego i czerwonego totalitaryzmu: rasowa oraz klasowa, które doprowadziły do bezprecedensowych zbrodni, kulminujących w antydoświadczeniu Holocaustu.

Oto nasza droga do bezradności, do przeświadczenia, że podejmowane przez nas, gatunek *homo sapiens*, wysiłki racjonalnie (!) porządkujące świat powodują nie tyle niebo na ziemi, ile piekło, którego nawet Dante nie byłby w stanie wymyślić. Skoro takie są efekty naszego działania, lepiej z nich zrezygnować (rezygnacja ratunkowa), lepiej przyjąć, że jesteśmy w stanie zbliżyć się do *Utopii* Tomasa Morusa, niż wytrwale ją budować. Argumentem rozstrzygającym o rezygnacji są koszty przedsięwzięcia. Niewymierne, bo przywołujące z jednej strony Koncentracjon Lager Auschwitz-Birkenau, a z drugiej Archipelag GULag.

Bezradność i rezygnacja. Bezradność wobec świata, polegająca na niemożności uporządkowania go i wobec siebie, wobec popędów, instynktów albo cech gatunkowych, skazujących każdego z nas (?) na role oprawców i morderców, potwierdzone przez psychologię społeczną po Holocaustie, począwszy od eksperymentów Stanleya Milgrama z lat 60. XX wieku, a skończywszy na badaniach Philipa Zimbardo z wieku XXI⁷.

Rezygnując z totalnego porządkowania świata, okazujemy nie tylko bezradność, ale przede wszystkim rozsądek i odpowiedzialność. Wyciągamy wnioski ze swoich błędów. Uczymy się

⁷ Zob. S. Milgram, *Posłuszeństwo wobec autorytetu*, przeł. M. Hołda, Kraków 2008. To tłumaczenie książki Milgrama z 1974 r., dotyczącej eksperymentów rozpoczętych na początku lat 60. Powszechnie znanych, wnikliwie skomentowanych. Dużo mówią one o tym, jak łatwo przychodzi nam wejść w rolę oprawcy. I o tym, że Auschwitz w ogóle tego nie zmieniło. Zimbardo bardzo często powołuje się na Milgrama. Chyba najbardziej znany jest jego stanfordzki eksperyment więzienny. Zob. też Ph. Zimbardo, *Efekt Lucyfera. Dlaczego dobrzy ludzie czynią zło?*, przeł. A. Cybulko, J. Kowalczevska, J. Radzicki, M. Zieliński, red. nauk. M. Materska, Warszawa 2008. Przypis ten pochodzi z mojej książki *Z historią literatury w tle* (zob. D. Kulesza, *Z historią literatury w tle. Daty, osoby, miejsce*, Białystok 2011, s. 30–31), a w *Genologicznej historii literatury polskiej...* pojawia się jako sygnał istotnych związków występujących między jedną i drugą publikacją.

ograniczać własne kompetencje. Rezygnujemy z zaufania, którym obdarzaliśmy się dotąd. Zaczynamy skutecznie kontrolować samych siebie.

Holocaust przenicował historię Europy. Będąc wytworem podstawowych sił nowoczesności – racjonalizmu, nauki wolnej od weryfikacji etycznej administracji i technologii – odsłonił ich zbrodniczą stronę. Po Zagładzie niemożliwe stało się bezkrytyczne zaufanie do rozumu i państwa (...). Dlatego (...) przemyślenie Holocaustu nie ogranicza się do zbierania dokumentów opowiadających o gettach i obozach, lecz zwraca się ku teraźniejszości. Zwrot ten (...) polega na upartym sprawdzaniu podstaw naszej cywilizacji – jej podatności i odporności na pokusę administrowania śmiercią⁸.

Zwrot ten to źródło postmodernizmu. Przede wszystkim europejskiego, nawet na poziomie kawiarnianych kompetencji rozpoznawanego poprzez takie słowa jak „dekonstrukcja” i zwroty w rodzaju „koniec wielkich narracji”. Bo jak można konstruować, jeśli zna się efekty naszego budowania rozpoczętego Wielką Rewolucją Francuską. I jak można pozwolić sobie na wielkie narracje, skoro tak łatwo daje się wykorzystać je do formułowania uzasadnień zbrodni. Oczywiście, dekonstrukcję można ograniczyć do tekstu i języka, a Derrida to kolejny badacz odżegnujący się od postmodernizmu, ale konsekwencje jego literaturoznawczych pomysłów zostały praktycznie zastosowane w myśleniu o całej kulturze, co dziwić nie powinno. Bo czy nasza (śródziemnomorska, judeochrześcijańska, zachodnia, nowoczesna i ponowoczesna) kultura mogłaby przetrwać bez tekstu, który jako jedyny jest, chociaż i jego też nie ma?⁹ A skoro nawet tekstu może nie być, to skąd miałyby się wzięć jakakolwiek wielka narracja?

⁸ P. Czaplinski, *Zagłada jako wyzwanie dla refleksji o literaturze*, dz. cyt., s. 21.

⁹ Jednym z najzabawniejszych i najciekawszych tekstów o dekonstrukcji jest wykład Prof. Kłosińskiego. Zob. K. Kłosiński, *Czy ktoś ukradł tekst?*, w: tegoż, *W stronę inności. Rozbiory i debaty*, Katowice 2006.

Na szczęście zabawa w paradoksy już się kończy. Przynajmniej z punktu widzenia, przyjmijmy, postmodernizmu, postulowanego przez Žižka. I nie chodzi głównie o to, że nie można bawić się w nieskończoność, bo postmodernizm jako zabawa to rozumiała konsekwencja uzasadnionej bezradności. Poczucie winy nie jest na dłuższą metę do zniesienia. Niezależnie od tego, jak wielkie zbrodnie ma się na sumieniu. Przygniecenie brzemieniem Holocaustu nie tylko zrezygnowaliśmy z kolejnych pomysłów na wielką, totalną narrację porządkującą rzeczywistość i zaczęliśmy kontrolować swoje zbiorowe bycie w świecie, ale musieliśmy też znaleźć jakikolwiek, proszę wybaczyć, wentyl bezpieczeństwa, uwalniający nas od permanentnego napięcia związanego z samokontrolą. Nie da się, mam nadzieję, uwolnić od poczucia winy i odpowiedzialności, a zabawa to coś więcej niż kwestia psychicznej równowagi. Zabawa to nieuchronne wypełnienie pustego miejsca, jakie powstało po ratunkowej rezygnacji z wielkich narracji, z realizowanych serio projektów zmieniających Ziemię w utopijny, koncentracyjny raj. Społeczna próżnia jest po prostu niemożliwa. Jeśli nie budujemy, „musimy” się bawić. Jak inaczej opanować energetyczny potencjał tych, którzy znajdują się w zasięgu globalizującej się, masowej, popularnej kultury? Praktyka społeczna modyfikuje ten teoretyczny model. Wprowadzona przez nią zmienna to budowanie, które ma wyłącznie liczbę pojedynczą, ponieważ dotyczy milionów skupionych na sobie konsumentów, realizujących wyłącznie własne, osobiste i osobne kariery. Nawet jeśli towarzyszy temu zbiorowe działanie.

Uzasadniona bezradność, ratunkowa rezygnacja i zabawa, jałowa. Trudno w tym zestawie znaleźć jakiś program pozytywny, przekraczający zasadę negatywnego, w tym wypadku pasywnego reagowania na rzeczywistość. Sytuacja zmienia się, gdy na postmodernistyczny projekt emancypacyjny spojrzysz się nie z perspektywy dekonstruowania – powtórzę – chrześcijańskiego, patriarchalnego, heteroseksualnego świata, ale jak na budowanie jego alternatywy: ponowoczesnej i wyeman-

cypowanej. Wystarczyło zapragnąć zmiany, by przekroczenie kręgu negatywnych rozwiązań okazało się realne. Wystarczyło zmienić optykę, by dekonstrukcja stała się kreacją. Nie są ważne motywy tego przewartościowania, ponieważ skazują one na nadużywane diagnozy psychologicznej natury. Ważniejsze jest to, że zmiana została potraktowana przez postmodernistów jako nie tylko możliwa, ale także uzasadniona, a wręcz konieczna.

Czy to koniec postmodernizmu? Tak, jeśli przyjmiemy, że jego cechą konstytutywną jest kontestowanie wszystkiego, co wiąże się z formowaniem jakiegokolwiek systemu, a zwłaszcza teleologicznie zorientowanej struktury społecznej o kulturotwórczych konotacjach, opartej na stabilnych, weryfikowalnych podstawach. Nie, jeśli traktujemy postmodernizm jako stan kultury, który przydarzył się znanemu nam światu w sposób uzasadniony i w tym znaczeniu nieuchronny. Perspektywa (dynamiczna, historyczna, diachroniczna¹⁰), zakładając istnienie zmiennych w czasie powodów pojawienia się postmodernizmu, bierze pod uwagę ewentualność jego ewolucji, z którą, jak sądzę, mamy teraz do czynienia.

Można przyjąć, że jedną z podstawowych form poznania jest strukturalizowanie tego, co staramy się zrozumieć. Strukturalizacja oznaczając zatrzymanie w czasie, skazuje rozpoznawany przedmiot na unicestwienie o tyle, o ile kwestionuje jego zmienność w czasie. Nie musi wynikać stąd wnioszek skazujący na wybór: albo „rzeczy same w sobie”, albo procesy wyznaczające środowisko ich funkcjonowania. W napięciu tym, albo albo, można szukać źródeł postmodernizmu, który rezygnuje z finalnego rozpoznania rzeczy i zjawisk, zdając sobie sprawę z modyfikującej ich tożsamość zmienności warunków, w których przyszło im być, a raczej nieustannie się stawać.

¹⁰ W odróżnieniu od poprzedniej, którą można nazwać statyczną, ahistoryczną, czyli strukturalną i synchroniczną.

Co wynika z tego dla genologicznej historii literatury polskiej XX i XXI wieku?

Przyjmując perspektywę dynamiczną, historyczną i diachroniczną, możemy traktować postmodernizm inaczej niż jako zarazę albo wielkie wyzwolenie kultury. Zyskujemy szansę poznania go jako stanu rzeczy. Uzasadnionego, czyli motywowanego historycznie, decydującego zarówno o kondycji literatury, jak i literaturoznawstwa. Nie ma więc sposobu na to, by pisać współcześnie o historii literatury czy genologii bez uwzględnienia postmodernistycznego punktu odniesienia. Chyba że uprawiamy literaturoznawstwo hermetycznie zamknięte na rzeczywistość, i to nie tylko kulturalną, bo przecież postmodernizm wziął się przede wszystkim z niemożliwego do uniknięcia, i pominięcia, zderzenia naszej kultury, a zwłaszcza naszej literatury, z naszą historią¹¹.

I nie chodzi o to, by albo cieszyć się ze zmian w postmodernistycznym światopoglądzie (postulujących pozytywnych charakter podejmowanych działań), albo ubolewać z powodu wypalania się rewolucyjnego, postmodernistycznego zapału. Rzecz w tym, by dostrzec istotę dokonującego się czy zapowiadanego procesu, by sprawdzić, na ile jest on realny i co mógłby zmienić w stanie kultury, literatury, a zwłaszcza literaturoznawstwa. Ewolucję historii bezpieczniej będzie zostawić Francisowi Fukuyamie, Samuelowi Huntingtonowi i Barakowi Obamie. I tak sobie z nią nie poradzą¹².

Slavoj Žižek w *Kruchym absolutie...* zauważył, że w konfrontacji ze światem ekspansywna kultura Zachodu boryka się

¹¹ Piszę o naszej kulturze, naszej literaturze i naszej historii, by zwrócić uwagę na to, że to my, gatunek homo sapiens, odpowiadamy za to zderzenie. Za jego przyczyny i konsekwencje. Bez poczucia odpowiedzialności za aktualny stan rzeczy i jego następstwa nie ma, moim zdaniem, wiarygodnej diagnozy dotyczącej kultury, literatury i historii.

¹² Tak samo jak literaturoznawcy skazani są na bezradność w konfrontacji z literaturą, zwłaszcza tą, której jeszcze nie ma.

z dwiema postawami¹³. Z jednej strony liberalni sceptycy, którzy nie mogą sobie pozwolić na żadną wiarę, na żadną pewność, ponieważ racją ich istnienia pozostaje i permanentne, konstytutywne wątplenie, i skuteczna troska o to, by instytucje życia zbiorowego formowane były zgodnie z chronioną prawem zasadą, egzekwującą obronę przed jakimikolwiek rozwiązaniami o jednostronnym charakterze. Z drugiej strony religijni fundamentaliści, którzy zamiast stać po stronie wiary, dawno już przeszli na ciemną stronę religijnej wiedzy, sprzeniewierzającej się Tajemnicy, kwestionującej Jej transcendentny charakter, redukującej wiarę do poziomu funkcjonalnego narzędzia w konfrontacji z każdym innym, niemożliwym do pisania wielką literą.

Konsekwencje obu postaw są nie tyle żałosne, ile po prostu niebezpieczne. Siłąc się na archaiczny już dowcip, mógłbym napisać, że liberalni sceptycy swoją pasywnością potwierdzają tezę o końcu historii, ale nawet Fukuyama nie może być z tego zadowolony, ponieważ w praktyce oznacza to nie tyle równowagę i stabilność, ile stagnację obsuwającą się w patowy, jałowy i demoralizujący regres. Żarty na temat religijnych fundamentalistów są po prostu niestosowne, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę terrorystyczne konsekwencje religijnego fundamentalizmu. Nawet jednak na poziomie dozwolonej prawem, codziennej aktywności (kulturalnej, społecznej, politycznej) fundamentaliści stwarzają zagrożenie i to zarówno swojej religijnej tożsamości (pozbawiając ją absolutnego punktu odniesienia i egzystencjalnego ryzyka wiary, o którym pisali Pascal, Kierkegaard czy Szestow), jak i funkcjonowaniu społeczeństw, skazując je na nieprzewidywalne ryzyko zacierania różnic między wiarą, wiedzą i prawem.

¹³ Przyznam, że ważniejsze niż skrupulatne sprawozdanie z dociekań Žižka jest dla mnie wykorzystanie jego opinii do opisanego stanu postmodernizmu dzisiaj i wynikających stąd możliwości, pojawiających się przed literaturoznawstwem w jego genologicznej i historycznoliterackiej postaci.

Co można zrobić w tej sytuacji? Jak na nią sensownie zareagować? Recepta wydaje się dialektycznie oczywista. Jeśli tezę miałby być liberalny sceptycyzm, a antytezą religijny fundamentalizm¹⁴, syntezy należałoby szukać tam, gdzie Horacjański *aurea mediocritas*, sugerujący liberałom trochę więcej wiary, a fundamentalistom trochę więcej sceptycyzmu. Pisząc bardziej serio, muszę zwrócić uwagę na to, że jedynym rozwiązaniem, zarówno dla religijnych fundamentalistów, jak i liberalnych sceptyków, jest wiara. Religia bez niej traci Boga. Staje się sumą ludzkiej bezradności, zbiorem bezskutecznych wysiłków zmierzających do kontaktu człowieka z Transcendencją. To akurat nie musi specjalnie Žižka zajmować. Dużo ważniejszy jest dla niego postulat mówiący o tym, że jedynym ratunkiem dla lewicy, bliższej mu niż postmodernistyczne etykiety, jest sięgnąć po wiarę, po prostu uwierzyć. Przy czym nie wchodzi w grę wiara postsekularna, ale formowana na wzór pierwszych chrześcijan wiara w prawdę. Tak, Slavoj Žižek od tych, których jako postmarksista nazywa lewicą, a którzy „dla świata” funkcjonują jako postmoderniści, Slavoj Žižek domaga się od nich wiary w prawdę. Wiary w to, że demontaż chrześcijańskiego, patriarchalnego, heteroseksualnego porządku nie jest wyłącznie zbiórką skompromitowanej przeszłości, ale budowaniem tego, co nowe i wspaniałe, co wyłącznie ze względu na złe skojarzenia z powieścią Huxleya nie może być nazwane nowym i wspaniałym światem. Žižek nie chce, by projekt emancypacyjny postmodernistów – sztandarowe przedsięwzięcie ponowoczesności, wspólny mianownik, do którego daje się sprowadzić postmodernistyczny światopogląd, jeśli tylko dopuścimy możliwość jego istnienia – był wyłącznie kontestacją, protestem, aktem sprzeciwu. Žižek chce, by postmodernizm dorósł, by jego działania

¹⁴ Przynajmniej z punktu widzenia dialektycznego równania tezę równie dobrze można byłoby przypisać religijnym fundamentalistom, a antytezę liberalnym sceptykom.

przybrały postać zorganizowaną, świadomą i celową, wynikającą z wiary w prawdę, która mówi, że ponowoczesny porządek społeczny – i wynikający z niego stan kultury oraz porządek polityczny, pozwalający osiągnąć oba (społeczny, kulturalny) i ich strzec – jest najlepszy z tych, jakie ludzie „na tym etapie swojego rozwoju” mogą, a nawet powinni zrealizować.

W tym momencie bezpieczniej będzie pozostawić symptomatyczne pomysły Žižka ze względu na nieuchronnie nadobecną w nich politykę. Towarzysząc im jednak tak długo, dobrze byłoby coś z nich sobie, czyli literaturoznawstwu, pozostawić. I wykorzystać, bo jeśli postmoderniści mogą wierzyć w prawdę i chcą na tej wierze budować nowy świat, to czy nie należałoby zweryfikować kilku tez ponowoczesnej albo poststrukturalistycznej proveniencji, które od dawna ograniczają zwłaszcza historię literatury, a może nawet genologię.

Zastrzeżenie. Nie ma powrotu do tego, co było: do strukturalistycznego myślenia o gatunkach i do organiczno-dynamicznych, historycznoliterackich wykresów, nawet jeśli pochodzą z tak cennego źródła jak *Podstawowe pojęcia sztuki* Henryka Wölfflina. Nie oznacza to, że można zapomnieć o tym, co było przed postmodernistycznym przełomem, na przykład o genologicznych pracach Michała Głowińskiego. Bez tego rodzaju tradycji nie damy sobie rady. Tym bardziej, że nie należy ona do przeszłości, ale niezmiennie współtworzy to, co w genologii – dzisiaj – jest, albo się staje. Wystarczy przypomnieć takie prace współautora *Słownika terminów literackich* jak *Gatunek literacki i problemy poetyki historycznej*¹⁵ czy *Gatunki literackie*¹⁶.

¹⁵ Zob. M. Głowiński, *Gatunek literacki i problemy poetyki historycznej*, w: tegoż, *Prace wybrane*, pod red. R. Nycza, t. 1: *Powieść młodopolska. Studium z poetyki historycznej*, Kraków 1997. Zob. też *Proces historyczny w literaturze i sztuce. Materiały konferencji naukowej, maj 1965*, pod red. M. Janion i A. Piorunowej, Warszawa 1967.

¹⁶ Zob. M. Głowiński, *Gatunki literackie*, w: tegoż, *Prace wybrane*, dz. cyt., t. 3: *Dzieło wobec odbiorcy. Szkice z komunikacji literackiej*, Kraków 1998. W sprawie francuskojęzycznego pierwodruku artykułu zob. tamże, s. 412.

Wystarczy przywołać opisane przez niego niezależnie od prac Bachtina gatunkowe inwarianty. Zresztą sam Michał Głowiński w otwierającym naszą książkę szkicu relacjonuje swoje genologiczne badania i ich efekty.

Pamiętając o genologicznej, żywej, wciąż odzyskiwanej tradycji, nie sposób zapomnieć także o tym, jak zmodyfikowała ją nie tylko literaturoznawcza ponowoczesność. Najważniejsze ustalenia w tej kwestii odnaleźć można w pracach Seweryny Wysłouch, która nie tylko opisała przebudowującą się genologię¹⁷, ale zajęła się także decydującym o jej użyteczności „polem gry”, czyli zmieniającym swoje granice, wymagającym wciąż nowych rodzajowo-gatunkowych ustaleń, obszarem literatury¹⁸. W największym skrócie zachodzące w genologii zmiany dałoby się sprowadzić do odchodzenia od tego, co konstytutywne i strukturalistyczne w określaniu rodzajów i gatunków oraz do zmierzania ku perspektywie kognitywnej, uwzględniającej zmienny, warunkowany konkretną aktywnością człowieka, antropologiczny punkt widzenia. Przy czym kognitywno-antropologicznemu „chaosowi” genologicznemu towarzyszy jeszcze jedna zmienna: niemieszcząca się w utrwalanych przez wieki granicach, konwencjonalizowana za sprawą wynalazku Gutenberga, ale dużo starsza niż druk literatury. Intertekstualna, interdyscyplinarna? Jeśli już, to transdyscyplinarna, chociaż i to słowo nie mówi wszystkiego o anektowanych przez nią obszarach, ani o obszarach, które ją zaanektowały. Zresztą nie chodzi o aneksje, ale o wszelkiego rodzaju dyfuzje i osmozy, o współistnienie zacierające więcej niż granice, bo przede wszystkim

¹⁷ Zob. S. Wysłouch, *Nowa genologia – rewizje i reinterpretacje*, w: *Polonistyka w przebudowie. Literaturoznawstwo – wiedza o języku – wiedza o kulturze – edukacja*, zespół redakcyjny: M. Czermińska (przewodnicząca), S. Gajda, K. Kłosiński, A. Legeżyńska, A. Z. Makowiecki, R. Nycz, t. 1, Kraków 2005.

¹⁸ Zob. S. Wysłouch, *Ruchome granice literatury*, w: *Ruchome granice literatury. W kręgu teorii kulturowej*, pod red. nauk. S. Wysłouch, B. Przymuszały, Warszawa 2009.

jednowymiarową, poddającą się strukturalizacji, dysponującą konstytutywnymi cechami, genologiczną tożsamość. My już nie tylko nie wiemy, co czytamy, ale po to, by kontaktować się z polimorficzną (amorficzną?) literaturą, musimy opanować umiejętności, które z czytaniem mają coraz mniej wspólnego.

Na szczęście sytuacja nie tyle badaczy przeraża, ile ich inspiruje. Świadczą o tym, między innymi, takie fakty jak seria *Zagadnienia i problemy współczesnej genologii*, redagowana przez Danutę Ostaszewską i Romualda Cudaka¹⁹ oraz publikacja wyjątkowa, przecząca genologicznemu chaosowi, radząca sobie z nim w sposób o tyle definitywny, o ile słownikowy. Mam na myśli *Słownik rodzajów i gatunków literackich*²⁰.

Genologiczna historia literatury polskiej XX i XXI wieku?

Genologia dysponuje dzisiaj bezcenną i wciąż użyteczną tradycją. Jej zderzenie z postmodernizmem nie okazało się kolizją. Napisałbym, że otworzyło rodzaje i gatunki na to, co podobne, zmienne i ludzkie (związane z naturalnymi wyznacznikami naszych postaw²¹), ale musiałbym wówczas zapomnieć, że tradycyjna, strukturalistyczna genologia, przy całej swojej konstytutywności, też uwzględniała historyczną zmienność i związek rodzajów literackich z używającym ich człowiekiem. Postmodernistyczna zmiana w myśleniu o rodzajach i gatunkach do-

¹⁹ Serię otworzył tom *Polska genologia literacka* (Warszawa 2007). Kolejne to: *Polska genologia lingwistyczna* (Warszawa 2008) i *Polska genologia. Gatunek w literaturze współczesnej* (Warszawa 2009).

²⁰ Zob. *Słownik rodzajów i gatunków literackich*, pod red. G. Gazdy, wyd. 2, Warszawa 2012.

²¹ Pisząc o tym, S. Wysłouch odwołuje się do ustaleń genologicznego „rewolucjonisty”, Emila Staigera. Zob. S. Wysłouch, *Nowa genologia – rewizje i reinterpretacje*, dz. cyt., s. 108.

konała się, ale od dawna była przygotowywana. Włodzimierz Bolecki napisał kiedyś, że Janusz Sławiński był pierwszym polskim poststrukturalistą²². Nie warto traktować tego wyłącznie w kategoriach żartu. Prace Emila Staigera, na które powołuje się Seweryna Wysłouch, opisując genologię w przebudowie, pochodzą z 1946 roku²³. To ma znaczenie, nawet jeśli za Johnem Barthem przyjmiemy, że pierwsza fala postmodernizmu, czyli tak zwana literatura wyczerpania²⁴, zaczęła się na Zachodzie po roku 1956.

Jest tradycja, jest stymulujący genologiczne zmiany postmodernizm, jest też świadomość, że czas na krok następny, na nowe zastosowanie genologii. Historycznoliterackie. Nowe? Genologia z samej swojej natury skazana jest na historycznoliteracki kontekst, na poetykę historyczną. Nowe może być tylko to, co wynika ze spotkania rodzajów i gatunków z postmodernizmem. Nowa może być genologiczna historia literatury polskiej XX i XXI wieku, korzystająca z ponowoczesnego, istotnie zmieniającego się, albo dobiegającego końca epizodu naszej kultury. Tym bardziej, że sam postmodernizm zdaje się dopominać już nie o dekonstrukcję, ale o wielkie, pozytywne projekty, o uwierzenie w niemożliwe, czyli w narrację nadającą sens. Rzeczywisty. Prawdziwy.

Trwam w przeświadczeniu, że nie ma większej literaturoznawczej narracji niż narracja historycznoliteracka. Nie ma powodu, by traktować jej jako okazję do przedsięwzięć o teleologicznym charakterze. Nie musimy wiedzieć ani co się wydarzy (co wydarzyć się powinno), ani tego, jak wygląda kompletny

²² Zob. W. Bolecki, *PPP (Pierwszy Polski Poststrukturalista)*, „Teksty Drugie” 1994, nr 4.

²³ Zob. S. Wysłouch, *Nowa genologia – rewizje i reinterpretacje*, dz. cyt., s. 113. W przypisach do artykułu S. Wysłouch pojawia się edycja pracy Steigera z 1959 roku, ale jej pierwsze wydanie opublikowano w roku 1946.

²⁴ Zob. przypis 3.

bilans powodów, dla których literatura wygląda dzisiaj tak, a nie inaczej. Nie ma powodu, byśmy wiedzieli zbyt wiele. Tego, między innymi, nauczył nas postmodernizm. Ale nawet uwzględniając te rezygnacje, historia literatury pozostaje najważniejszą literaturoznawczą narracją. Jest zasadniczym punktem odniesienia, ale wolnym od transcendentnych konotacji, jest kontekstem, który nie może być żadnym megametatekstem, zawierającym w sobie wszystkie inne, jest sumą, ale jej pęczniejący ogrom nie poddaje się finalnej strukturalizacji. Nawet jeśli historia literatury jest na tyle znarratywizowana, że da się ją sprowadzić do jakiegokolwiek stylistycznego tropu, i tak warto ją opowiadać. Zwłaszcza korzystając z genologii.

Zresztą nawet wtedy, gdy Teresa Walas pytała, *Czy jest możliwa inna historia literatury?*, raczej upominała się o konieczne zmiany, niż kwestionowała historycznoliterackie ambicje literaturoznawstwa. Także Barbara Skarga, wyznaczając „granice historyczności”, konfrontując się z Michelelem Foucault, nie tyle ulegała jego pasji kwestionowania transcendentaliów, ile – pełna szacunku dla ustaleń autora *Archeologii wiedzy* – potwierdzała swoją wiarę w sensowność historii²⁵. Obie panie swoimi badaniami nie tylko zaświadczyły o trwałości wiary w historię i historię literatury, ale również pokazały, w jaki sposób wiara ta powinna korzystać z postmodernistycznego stanu kultury, z poststrukturalistycznego literaturoznawstwa. Nie bez znaczenia jest też to, że historycznoliterackie propozycje Teresy Walas zapisane w XXI wieku, poprzez odwołanie do encyklopedii i kroniki, nie są wolne od genologicznego kontekstu, a nawet więcej, wskazują nacechowaną genologicznie strategię gromadzenia wiedzy (encyklopedia) i gatunek (kronika), użyteczne z punktu

²⁵ Szerzej o *Granicach historyczności* B. Skargi z 1989 r., o monografii *Czy jest możliwa inna historia literatury* (Kraków 1993) oraz o innych historycznoliterackich pracach T. Walas piszę we wprowadzeniu do swojej książki *Z historii literatury w tle*, dz. cyt.

widzenia historii literatury²⁶. I tylko pozornie może się wydawać, że sugestie przyjaciółki Wisławy Szymborskiej mają charakter zarówno archaiczny, jak i anachroniczny. To raczej kolejne potwierdzenie tego, że znów zaczynamy. Od początku albo od początków, od encyklopedii i kroniki, sięgając do europejskiego, otwierającego ponowoczesną perspektywę oświecenia (encyklopedyści) i do polskiego średniowiecza naznaczonego kronikami Galla Anonima czy Wincentego Kadłubka. Zaczynamy odwołując się do dwóch alternatywnych, ale także komplementarnych – przynajmniej z punktu widzenia historii wiedzy traktowanej jako całość – epistemologii, czyli, nazywając rzecz równie szumnie, dwóch uzupełniających się metodologii prowadzenia badań naukowych. Nie pytamy już, czy historia literatury jest możliwa? Naśladując Teresę Walas, warto podjąć wysiłki, by udzielić pozytywnej i praktycznej odpowiedzi na to coraz mniej aktualne pytanie. W naszych historycznoliterackich staraniach nie powinno zabraknąć miejsca na ostrożność i sceptycyzm, których nauczył nas postmodernizm, ale przede wszystkim wymagają one trwałej wiary w kruchy, literaturoznawczy absolut, w historię literatury.

Szkoda czasu na nieprzezwyciężony sceptycyzm historycznoliterackich liberałów, godzących się na każde rozwiązanie tylko dlatego, że żadne z nich nie może być zadowalające. Historycznoliteraccy fundamentaliści nie przestaną okupować badawczych marginesów, jeśli nie zgodzą się na uwzględnienie w swoich pracach tego, co do myślenia o historii literatury wprowadził postmodernizm. Niezbędny jest kompromis między liberałami i fundamentalistami. Historycznoliteracki. I genologiczny, ponieważ dzisiaj trudno wskazać perspektywę badań historycznoliterackich bardziej użyteczną niż ta, która odwołuje się do rodzajów i gatunków literackich.

²⁶ Zob. T. Walas, *PRL jako przedmiot dyskursu encyklopedycznego*, w: *Narracje po końcu (Wielkich) Narracji. Kolekcje, obiekty, symulakra...* red. nauk. H. Gosk, A. Zieniewicz, Warszawa 2007.

Nie ma w tym nic nowego. Wystarczy przyrzeć się genologicznie zorientowanemu układowi materiału w takich kompendiach jak przygotowana w Instytucie Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, trzytomowa, nieukończona *Literatura polska 1918–1975*²⁷. Układ ten realizuje bardziej zaawansowana, bo doprowadzona do roku 1996²⁸, też zresztą IBL-owska seria, określana dla odróżnienia od wymienionej jako *Mała Historia Literatury Polskiej*.

Najważniejszą alternatywą dla tego rodzaju uporządkowania wielkich i mniejszych syntez jest perspektywa personalna, obecna właściwie w każdej pracy historycznoliterackiej, ale na naszym, polskim gruncie doprowadzona do perfekcji przez Artura Hutnikiewicza w jego *Młodej Polsce*, wydanej po raz pierwszy w roku 1994, w ramach serii *Wielka Historia Literatury Polskiej*. Personalny punkt widzenia ma raczej małe szanse w konfrontacji z nastawieniem genologicznym. I nie chodzi o niestosownie brzmiący w tym miejscu, postmodernistyczny argument, mówiący o śmierci autora²⁹. Problem polega raczej na tym, że autor jest, a literaturoznawstwo nie potrafi sobie z nim poradzić, niezależnie od sukcesu *Młodej Polski* Hutnikiewicza.

Przewaga genologicznie zorientowanego układu prac historycznoliterackich nie oznacza przyzwolenia na powielanie go w takiej postaci, jaka znana jest z *Wielkiej* czy *Małej Historii Literatury Polskiej*. Nie trzeba postmodernizmu, by marzyć o nieco

²⁷ Zob. *Literatura polska 1918–1975*, red. nauk. A. Brodzka, H. Zaworska, S. Żółkiewski, T. Bujnicki, t. 1–3, Warszawa 1975–1996. Standardowy układ powielany w kolejnych tomach wygląda tak: najpierw *Kultura literacka*, potem *Czasopisma literackie*, *Krytyka literacka*, *Eseistyka* (tylko w cz. 1, t. 3), *Refleksja o kulturze*, *Wiedza o literaturze*, *Poezja*, *Proza*, *Dramat*, *Satyra* (tylko w t. 2) oraz *Dokumentacja bibliograficzna*, w t. 2 uwzględniająca obszerną *Bibliografię personalną*.

²⁸ Zob. A. Nasiłowska, *Literatura okresu przejściowego. 1975–1996*, Warszawa 2006. W związku z tą pozycją warto dodać, że zawiera ona obszerne, prawie 40-stronicowe *Kalendarium 1975–1996*, które chyba równie dobrze można byłoby nazwać kroniką.

²⁹ Zob. R. Barth, *Śmierć autora*, przeł. M. P. Markowski, „Teksty Drugie” 1999, nr 1/2. Pierwodruk: 1968.

innym związku między historią literatury i genologią. Związku, przynajmniej z mojego punktu widzenia, optymalnym.

Wielkie wrażenie podczas wizyty w londyńskiej National Gallery zrobił na mnie porządek ekspozycji. Chronologicznie prezentowana historia malarstwa opowiedziana została według tego, który kraj, która z malarskich szkół była w danym czasie, wieku, okresie, najważniejsza, rozstrzygająca o tym, co w malarstwie nowe i cenne, najistotniejsze dla powszechnej historii sztuk plastycznych. Chciałbym odwzorować ten porządek w genologicznych badaniach historycznoliterackich. Jak mogłoby to wyglądać w odniesieniu na przykład do polskiej literatury powojennej? Tej, którą nie czekając na koniec wojny, warto zacząć w lipcu 1944 roku, a skończyć można w roku 1989, otwierającym nową Polskę, stwarzającą szansę na nową literaturę.

Najpierw, w miarę możliwości, daty, cezury i okresy, czyli temporalny punkt odniesienia, czasowa rama, pozwalająca zestawiać z nią rodzaje i gatunki. Rozumiem literaturoznawcze ambicje polegające na potrzebie szukania takich dat, które mają wyłącznie charakter literacki, ale niezbyt wierzę w tego rodzaju postawę wobec literatury polskiej lat 1944–1989. Mówiąc wprost, od lat nie umiem pozbyć się przeświadczenia, że o polskiej literaturze powojennej decyduje nawet nie historia, ale po prostu polityka. Z jednej strony kategoryczny imperatyw obywatelski pisarzy, a z drugiej równie naturalna potrzeba wybijania się na estetyczną, poetycką, albo po prostu literacką niepodległość. Przyjmując taki punkt widzenia, powtarzając – po raz kolejny – za Oskarem i Czesławem Miłoszami, że poezja, że literatura to namiętna pogoń za Rzeczywistością³⁰ i rozpoznając powojenną rzeczywistość jako podporządkowaną historii i polityce, nie czuję nadmiernego dyskomfortu, wskazując jako istotne dla literatury takie przełomy jak lata 1944–1948,

³⁰ Zob. Cz. Miłosz, *Świadectwo poezji. Sześć wykładów o dotkliwościach naszego wieku*, Warszawa 1987, s. 25.

rok 1956, 1975 czy 1989. Ze względu na Nową Falę przywołuję rok 1968, a opisując Nową Prywatność nie bagatelizuję Sierpnia 1980 roku. Wyodrębniam nawet ponadpokoleniową i pangatunkową literaturę stanu wojennego, chociaż wiadomo, że najważniejsza była wtedy poezja. Tego rodzaju przygotowanie, korzystające nie tylko z literackiego kalendarza, pozwala zmierzyć się z kwestią zasadniczą, czyli genologiczną historią literatury polskiej, opowiadaną tak, jak historia malarstwa w National Gallery.

Lata 1944–1948 to okres „burzy i naporu”, kiedy mogło się jeszcze wydawać, że – przynajmniej w literaturze – rewolucja będzie łagodna. Owszem, nie mogły ukazać się ani *Rojsty*, ani *Polska jesień*, ani *Czarny potok*, ale Jerzy Borejsza bardzo się starał, by pisarze mogli liczyć nie tylko na jego wydawniczą pomoc. Zgoda, nie wszyscy, ale poziom wymaganej lojalności znacząco odbiegał od stanu z lat 1949–1955. A gatunki? Stan przejściowości (między wojną i socrealizmem) nie sprzyjał preferowaniu żadnego z nich. Zdecydowała praktyka, determinowana przez powszechną – także z punktu widzenia genologii – realizację najważniejszego, literackiego zadania tamtego czasu, polegającego na zapisywaniu wojny. W tym zakresie najważniejsze wydają się obozowe opowiadania Tadeusza Borowskiego i poezja Tadeusza Różewicza³¹, ale nie sposób pominąć omawianego w naszej książce przez Radosława Siomę dramatu Jerzego Szaniawskiego *Dwa teatry*.

Realizm socrealistyczny z samej swojej natury był totalną metodą twórczą, obejmującą wszystkie rodzaje i gatunki literackie, ale nie ulega wątpliwości, że w tym pospolitym, genologicznym ruszeniu obowiązywała jasno określona hierarchia. Najwyżej cenione były powieści produkcyjne, konieczne kilkuset stronicowe i dotyczące najważniejszych zadań planu sześcioc-

³¹ O tym, jakie warunki musiała spełnić literatura polska, by móc wiarygodnie funkcjonować po wojnie, piszę w książce *Dwie prawdy. Zofia Kossak i Tadeusz Borowski wobec obrazu wojny w polskiej prozie lat 1944–1948* (Białystok 2006).

letniego. W grę wchodziła odbudowa Warszawy (na przykład *Obywatele* Kazimierza Brandysa z 1954 roku), budowa statków (na przykład *Lewanty* Andrzeja Brauna z 1952 roku) czy wydobycie węgla (na przykład *Węgiel* Aleksandra Ścibora-Rylskiego z 1951 roku). Mniej ważne były powieści socrealistyczne o tematyce wiejskiej (między innymi teksty Romana Bratnego) czy te, które bezpośrednio dotyczyły walki politycznej (choćby *Władza* Tadeusza Konwickiego, *Rozstaje* Jerzego Putramenta albo takie opowiadania Tadeusza Borowskiego jak *Kłopoty pani Doroty...* czy *Dysputy księdza dobrodzieja*).

Niezależnie od tego, że socrealistyczną poezję uprawiali twórcy tej miary co Konstanty Ildelfons Gałczyński, Władysław Broniewski³² czy Mieczysław Jastrun, nie mogła ona liczyć na popularność i wsparcie władz równe okazywanemu prozie produkcyjnej. Może dlatego młodzi socrealiści zwani przyszczatymi (Wiktor Woroszyński, Andrzej Mandalian, Arnold Słucki czy Witold Wirpsza³³) uciekali w tak zwaną majakowszczyznę, wyżej ceniąc agitacyjny wymiar wiersza niż metaforę. Chociaż w ich wypadku najistotniejsza wydaje się pełna entuzjazmu wiara w nowy, socjalistyczny porządek.

O dramacie realizmu socrealistycznego wystarczy napisać, że był konsekwentnie reglamentowany³⁴, potwierdzając planowy charakter tego, co nazywano polityką kulturalną państwa,

³² Wymieniając Gałczyńskiego i Broniewskiego wśród socrealistów warto pamiętać, że ich twórczość z lat 1949–1955 była nie tylko lojalna wobec obowiązujących ją politycznych wymagań, ale bywała także wolna od ich wpływu. Zob. Z. Jarosiński, *Nadwiślański socrealizm*, Warszawa 1999, s. 127–133.

³³ Tak jak w wypadku Gałczyńskiego i Broniewskiego, także wobec przyszczatych warto zachować rzetelność, informując nie tylko o ich socrealistycznych zatrudnieniach, ale również o tym, że każdy z nich nie tylko rozliczył się ze swoją niesławną przeszłością, ale także brał czynny udział w działaniach jeśli nie politycznej, to literackiej opozycji po roku 1955.

³⁴ Np. w 1951 r. repertuar teatrów w Polsce zaplanowano w następujący sposób: 30% zajmować miały polskie sztuki współczesne, czyli socrealistyczne, 30% sztuki radzieckie, czyli... jak poprzednio, 20% klasyka polska, 20% klasyka światowa.

czyli Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. I jeszcze jedna, symptomatyczna informacja. Akcja komedii nie mogła rozgrywać się w żadnym poważnym zakładzie produkcyjnym typu stocznia, kopalnia czy huta. Odpowiednim dla niej miejscem mogły być co najwyżej wytwórnie płyt gramofonowych, ewentualnie pinesek. Ten zabawny skądinąd fakt dużo mówi o kontroli, jaką nad literaturą i jej genologicznym arsenalem (im więcej leksyki zmilitaryzowanej w związku z socrealizmem, tym lepiej) sprawowała władza w latach 1949–1955³⁵.

Październikowy przełom 1956 roku, począwszy od słynnej *Premiery pięciu poetów* w „Życiu Literackim” z 18 grudnia 1955 roku³⁶, to przede wszystkim poezja, zarówno generacji Kolumbów (Białoszewski, Herbert), jak i tak zwanego pokolenia „Współczesności” (Grochowiak, Bursa), które, moim zdaniem, lepiej byłoby łączyć nie tyle z grupą i pismem o tej samej nazwie, ile z orientacyjnym rokiem urodzenia tworzących je pisarzy: 1934³⁷. Wtedy przyszedł na świat nie tylko najważniejszy turpista przełomu, Stanisław Grochowiak, ale także chyba bardziej popularny wówczas niż wszyscy poeci, prozaik Marek Hłasko. Z jednej strony wyobraźniowa rewolucja, która nie tylko otworzyła polskiej poezji zupełnie nowe perspektywy, ale także przywróciła odebraną przez socrealizm pamięć poezji sprzed roku 1939, a z drugiej skazana na koneksje z realiz-

³⁵ Świadomy wartości prac o socrealizmie opublikowanych przez M. Głowińskiego, Z. Łapińskiego, W. Tomasika czy M. Zawodniaka, niezmiennie pozostają pod wpływem przede wszystkim tego, co na temat realizmu socjalistycznego napisał mój historycznoliteracki mistrz, Zbigniew Jarosiński. To z jego prac, zwłaszcza z książki *Nadwiślański socrealizm*, pochodzą zapisane przeze mnie informacje i diagnozy dotyczące lat 1949–1955.

³⁶ *Premiera...* to wiersze M. Białoszewskiego, Z. Herberta, S. Czycza, B. Drozdowskiego i J. Harasymowicza. Komentarzami opatrzyli je: A. Sandauer (Białoszewski), J. Błoński (Herbert), L. Flaszen (Czycz), J. Przyboś (Drozdowski) i M. Jastrun (Harasymowicz).

³⁷ Nawet jeśli A. Bursa – zupełnie tak samo jak R. Kapuściński czy W. Myśliwski, chociaż to zupełnie inna opowieść – urodził się dwa lata wcześniej.

mem socjalistycznym, nie tyle wybitna, ile symptomatyczna proza Marka Hłaski: najpopularniejszego pisarza październikowego przełomu. Czy genologia może pomóc w opisie tego fenomenu? Na ile zasadne jest traktowanie go z punktu widzenia rodzącej się wówczas w Polsce kultury masowej i kultury popularnej?

Nawet jeśli chcemy zbagatelizować istnienie Orientacji Poetyckiej „Hybrydy”, z punktu widzenia genologicznej historii literatury polskiej warto wziąć pod uwagę wiersze i poematy tworzone przez Gąsiorowskiego, Górzeńskiego, Jerzynę czy Bordowicza. Warto, ponieważ to znakomity przykład gatunkowych aberracji. Ciekawych, bo uzasadnionych. Wynikających z utraty przez poezję kontaktu z rzeczywistością. Tego rodzaju ocena nie zmienia faktu, że hybrydowcy, przynajmniej moim zdaniem, stanowią ważną część opowieści o tym, jak bardzo polska powojenna poezja starała się wybić na estetyczną niepodległość, unikając politycznego zaangażowania, generowanego przez romantyczny paradygmat. I dlatego pamiętam o Orientacji, niezależnie od jej burzliwych związków ze Stachurą czy poetami Nowej Fali. Niezależnie od tego, że związana była z nią także Barbara Sadowska, matka Grzegorza Przemyka.

Nowa Fala to przede wszystkim poezja. Z wierszami Barańczaka, Karaska Kornhausera, Krynickiego i Zagajewskiego nie są w stanie konkurować prozatorskie teksty Janusza Andermana czy Andrzeja Pastuszka. A przewaga nowofalowej poezji nad możliwą do generacyjnego i estetycznego kojarzenia z nią prozą wzrasta niepomiaralnie, gdy uwzględni się związki, jakie z wielką piątką mieli Ewa Lipska i Rafał Wojaczek. Zresztą i tak najważniejsza pozostaje kwestia nie tyle rodzajowych przewag, ile tożsamości poezji Nowej Fali: ekspresjonistycznej i demistyfikacyjnej, po prostu romantycznej³⁸ w sposób nowy, ale bardzo

³⁸ Zob. J. Kornhauser, *Nowa poezja*, w: J. Kornhauser, A. Zagajewski, *Świat nie przedstawiony*, Kraków 1974.

trwały. Decydujący o dykcji całej literatury opozycyjnej wobec władz PRL-u³⁹.

Przełom roku 1975 pozwala skupić uwagę na prozie. Wreszcie. To właśnie wtedy zaczęła się kariera czwartego rodzaju literackiego, czyli literatury dokumentu osobistego⁴⁰. Rok później opublikowany został tekst założycielski wielkiej zmiany: *Kalendarz i klepsydra* Tadeusza Konwickiego. Nie przestaje zadziwiać mnie ta sytuacja. Pisarze niechętnie nastawieni do ówczesnej władzy, którzy już niedługo zaczną dysponować własnym, niezależnym obiegiem literackim, związanym z organizującą się przy ich udziale polityczną opozycją, podejmują obywatelską decyzję o poważnych, genologicznych konsekwencjach. Rezygnują z prozatorskich form skończonych, form „kwiatu” i „korony”, zwieńczonych nie tylko, ale przede wszystkim fabularnie, tak jak *Czarodziejska góra* Tomasza Manna jest nie tylko sporem Naphty i Settembriniego, ale także opowieścią o inicjacji lub/także o formowaniu się (Bildungsroman) Hansa Castorpa. Polscy pisarze w akcie protestu postanowili zejść do podziemia literatury nie tylko jako twórcy funkcjonujący poza oficjalnym obiegiem, ale także jako autorzy afabularnych próz „niedokończonych”, przetrwalnikowych i w tym znaczeniu odwołujących się do „korzeni” zamiast do kwiatowych koron⁴¹. Ta decyzja bardzo szybko okazała się nie tyle sprzeciwem, ile proklamacją literatury panującej w polskiej prozie do roku 1989, a i teraz pozostającej w centrum zainteresowania rynku oraz czytelników.

³⁹ Zob. D. Kulesza, *Z historią literatury w tle. Wprowadzenie albo wyznanie*, w: tegoż, *Z historią literatury w tle...*, dz. cyt., s. 23–24. Przywoływany w przypisie fragment jest komentarzem do poświęconych Nowej Fali opinii A. Nasiłowskiej, zapisanych w cytowanej już książce *Literatura okresu przejściowego*.

⁴⁰ W sprawie czwartego rodzaju a nie cezury 1975 r. zob. R. Zimand, *O literaturze dokumentu osobistego w ogóle a o diarystyce w szczególności*, w: tegoż, *Diarysta Stefan Ż.*, Wrocław 1990.

⁴¹ Formy „kwiatu”, „korony” i „korzeni” pochodzą z komentowanej przez J. Andrzejewskiego prozy J. Zawieyskiego. Zob. J. Andrzejewski, *Miazga*, Warszawa 1981, s. 155–156.

Jakby tego było mało, sytuacja ta pokazała, jak bardzo – przed 1989 rokiem – literatura polska mogła różnić się od literatury tak zwanego Zachodu. Wystarczy zauważyć podobieństwo próz dokumentu osobistego powstających w naszym kraju po roku 1975 do postmodernistycznych sylw. Podobieństwo, które kończy się tam, gdzie pada pytanie o genezę sylwicznej literatury w Polsce i na Zachodzie. Przy czym genetyczne rozbieżności każą inaczej patrzeć na rozpoznawane, tożsamościowe, czyli genologiczne podobieństwa. Nie bez przyczyny Ryszard Nycz w swoich *Sylwach współczesnych* praktycznie pomija teksty Tadeusza Konwickiego. Autobiografizm, autotematyzm i autoedukacja⁴² mogą być postrzegane jako wspólne zadania sylwicznych pisarzy Polski i Zachodu, ale jeśli drudzy realizowali i wciąż jeszcze realizują je na sposób postmodernistyczny, dekonstrukcyjny, o tyle nasi, rodzimi twórcy zmagali się z nimi przede wszystkim „konstrukcyjnie”: ze względu na jeden, zbiorowy, jeśli nie patriotyczny, to na pewno opozycyjny obowiązek. Polskie sylwy mogły upodobnić się do sylw postmodernistycznych dopiero po roku 1989.

Ostatni z historycznoliterackich przełomów, ostatni, czyli pozwalający używać przymiotnika „współczesna” wobec literatury, która zdarzyła i wciąż zdarza się w Polsce po nim, dokonał się za sprawą poezji, a nawet jednego poety: Marcina Świetlickiego. Obserwując wpływ, jaki na poezję wolnej, III RP miała cezura 1989 roku, warto uwzględnić nie tylko oddziaływanie form praktykowanych przez twórców nowojorskich, zwłaszcza Franka O’Hare, ale także konfrontację, jaką z publiczną rolą polskiego poety, rolą skazaną na poromantyczny tyrteizm, podjął Świetlicki – najbardziej prywatny z pokolenia „bruLionu” i dlatego tak użyteczny z punktu widzenia nowej literatury, powstającej w prywatyzującym się, wolnym kraju. To jest dopiero kolidacja: zderzenie dwóch równoprawnych sił, dwóch platform roz-

⁴² Zob. R. Nycz, *Zakończenie*, w: tegoż, *Sylwy współczesne. Problem konstrukcji tekstu*, Wrocław 1984. Por. tegoż, *Sylwy współczesne*, wyd. 2, Kraków 1996.

strzygających o więcej niż genologicznych wyborach literatury polskiej po roku 1989. Z jednej strony potężna, zdominowana przez romantyczny paradygmat, wciąż świetnie funkcjonująca, narodowa tradycja, a z drugiej nowa perspektywa, genetycznie inna niż postmodernizm, ale już u zarania prywatna, osobna, otwarta na to, co różne niż polskie, inne, obce, nowe, europejskie, zachodnie, światowe, tak, coraz bardziej postmodernistyczne: globalne, medialne, popkulturalne.

Te dwie platformy, dwie nacierające na siebie płyty budują naszą współczesną literaturę. Napięcia między nimi decydowały nie tylko o tym, kto z poetów stał się personalnym znakiem przełomu 1989 roku, ale rozstrzygają dzisiaj o tożsamości polskiej prozy, dominującej nad poezją i dramatem albo stymulującej to, co się w XXI wieku z naszą poezją i naszym dramatem dzieje.

Proza w Polsce po roku 1989 bardzo chętnie odwracała się od tego, co rodzime. Chciała być jeśli nie globalna (postmodernistyczna i „amerykańska”), to przynajmniej powszechna. Bywała zaangażowana, ale nie na polityczny sposób. Poprzez mit i inicjację wracała do fabularności. Z czasem zaangażowania w niej przybywało. I to jednoznacznie politycznego. Z jednej strony Bronisław Wildstein, Rafał A. Ziemkiewicz czy Andrzej Horubała (a swego czasu nawet Cezary Michalski), a z drugiej przede wszystkim Olga Tokarczuk: już nie powieściowa terapeutka ze szkoły Junga, ale wyznawczyni Judith Butler, używająca swego pióra i nazwiska do postmodernistyczno-emancypacyjnych przedsięwzięć „Krytyki Politycznej”. Między tymi biegunami umieściłbym szczególnie wyraziste formy literackiego zaangażowania poetów, z Wojciechem Wenclem na czele i dramaturgów, którym lideruje Paweł Demirski, korzystający z inscenizatorskiego talentu Moniki Strzępki.

Dwa prozatorskie bieguny i możliwe do kojarzenia z nimi innościowe formy uczestnictwa w politycznej walce to za mało. Ten zarys wymaga uzupełnienia w postaci zjawisk bardziej wieloznacznych, ewoluujących, takich jak przekraczająca postmodernizm, krytykująca go z psychologicznego i społecz-

nego punktu widzenia proza Agnieszki Drotkiewicz, wychylająca się z ponowoczesności w stronę powrotu do pragnień tak konwencjonalnych jak bliskość, zależność i odpowiedzialność⁴³. Już nie za Polskę czy emancypację, ale drugą osobę. Tu i teraz. A Dorota Masłowska, by pozostać w tym samym (przynajmniej niegdyś) towarzysko-literackim kręgu? Czy można nie zauważyć zmiany, jaką jej twórczość przeszła od *Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną* z 2002 roku do powieści *Kochanie, zabiłam nasze koty* z roku 2012? Coraz mniej języka (usłyszanego i skonstruowanego), coraz mniej budowania z niego rzeczywistości, która w równym stopniu bawi i przeraża. Coraz więcej świata, który boli. Ponowoczesnego. Wykluczającego. To już nie jest prowincjonalne, czyli typowo polskie, wojenne Wejherowo, ani show-biznesowa warszawka z *Pawia królowej*, to *Dwoje biednych Rumunów...* wrzuconych jak katalizator w bogaty świat Polaków, zupełnie bezradnych wobec cudzej nędzy, ujawniających w ten sposób swoją. To zapisujący przejmująco doświadczenie braku kolejny dramat: *Między nami dobrze jest*. To znakomita, kontestowana przez postmodernistów powieść *Kochanie, zabiłam nasze koty*, bezwzględny, przeprowadzony z maksymalnie globalnej, bo quasi-nowojorskiej perspektywy rozrachunek z tym, co nie tyle banalne, ile przerażające w relacjach międzyludzkich, determinowanych przez ponowoczesne bycie już nie w świecie, ale skomercjalizowanej rzeczywistości masowej, popularnej kultury, homogenizującej nie tylko sztukę, ale przede wszystkim ludzi.

Łatwiej jest opisać udział gatunków i rodzajów w historycznoliterackim, syntetyzującym określeniu literatury lat 1944–1948, socrealizmu czy przełomów 1956, 1975, a nawet 1989 roku, niż zdiagnozować genologiczną tożsamość polskiej

⁴³ Zob. A. Drotkiewicz, A. Dziewit, *Teoria trutnia i inne*, Wołowiec 2009. Szczególnie ważna wydaje się w tej książce rozmowa ze S. Sierakowskim. Zob. też beletrystyczną wersję poglądów A. Drotkiewicz na temat rzeczywistości społecznej po „rewolucji feministycznej”, czyli jej powieść *Teraz* (Warszawa 2009).

literatury współczesnej. Zaproponowałem tylko jedno z możliwych ujęć, odwołujących się do związku tego, co w naszej literaturze współczesne z tym, co decydowało o przeobrażeniach roku 1975. Dlatego wyeksponowałem kategorię zaangażowania (politycznego, opozycyjnego), zwróciłem uwagę na kategorię imperatywu obywatelskiego pisarza i starałem się pokazać warianty jego funkcjonowania w prozie po roku 1989. Możliwości genologicznych wglądów, z nastawieniem historycznoliterackim, w najnowszej literaturze jest znacznie więcej. Rzecz w tym, by je zidentyfikować i z nich korzystać.